

Teksty Drugie 1990, 2 , s. 131-147



Mój pogląd na literaturę

Stanisław Lem

Świadectwa

Stanisław Lem

Mój pogląd na literaturę

Mój pogląd na literaturę da się wyrazić prosto. Nie ma takich spraw, narodowych ani światowych, które nic nie obchodzą literatury. Jej obowiązkiem jest zwracać się ku przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Oczywiście żaden człowiek, więc i żaden pisarz nie może ogarnąć tego sam. Lecz ten nieosiągalny cel winien mu przyświecać. Literatura jest zwornikiem życia duchowego, gwarantem zachowania etnicznej tożsamości i szczególnym narzędziem poznania. Dlatego zagrożenie jej rozwoju jest czymś większym od uszkodzenia ewolucji prądów artystycznych. Zagrożenie to ponawiało się w naszej powojennej historii kilkakrotnie. Poświęciłem mu dużo miejsca w książkach. Ograniczę się jednak teraz do zacytowania fragmentów listu, który napisałem 2 grudnia 1977 r.

Rok 1977. W imieniu Komitetu Badań Prognoz „Polska 2000”, zwrócił się wtedy do mnie profesor Bogdan Suchodolski o wypowiedź dla przygotowywanej konferencji na temat kształcenia człowieka współczesnego w Polsce Ludowej. Z mego długiego listu przedstawię wyjątki. Opisałem wstępnie kształceniowe tło, utworzone z kłamięcej propagandy, która usiłuje nieudolnie maskować narastający kryzys gospodarczo-polityczny. O sytuacji w kulturze pisałem tak: „Moim zdaniem sytuacja ta jest gorsza niż w ekonomice, gdyż gorzej rokuje na przyszłość. Nie podejmę się jej socjologicznej analizy, gdyż ta wymagałaby traktatu. Ograniczę się do wyznaczenia haseł, dla kulturowego niżu

kluczowych. W ostatnim czasie zbiegły się takie czynniki, warunkujące kryzys w kulturze:

A) deficyt papieru, objęcie sporej liczby krytyków, literatów, publicystów zakazem druku, duże zaostrzenie rygorów cenzury, przy jednoczesnej stracie jej wytycznych typu światopoglądowego (jak, powiem osobno), wzrastający niedobór takich pism, dzieł i podręczników, bez których normalne, poszerzające wiedzę i orientację we współczesnym świecie kształcenie nie jest możliwe.

B) To, co się dzieje od dłuższego czasu w środowiskach twórczych (literatów) wykracza poza podjęty temat. Nie wykraczają jednak poza ów temat reperkusje kryzysowych zjawisk. (...) Odnoszę wrażenie, że zachodzi dodatnia korelacja pomiędzy tą posuchą, jaką obserwujemy w naszym oficjalnym życiu kulturalnym a tym plenieniem się »podziemnych« akcji, jakie przychodzi nam konstatować. Znikaniu z łamów prasy nazwisk młodych, dobrze zapowiadających się krytyków czy poetów towarzyszy ich pojawianie się w niskonakładowych drukach »samizdatowego« typu. Widzę tu taką prawidłowość: im mniej przekonywająca informacja oficjalna, im dalej posuwane ingerencje cenzury, tym większe prawdopodobieństwo »ześlizgiwania się« myśli krytycznej i twórczej w »pozacenzuralne podziemie«. (...) Polityki kulturalnej nie mamy. Mamy za to leseferyzm np. w sferze wydawniczej. Deficytowy papier marnuje się (...). Nie wiem nawet, czy byłaby cenzuralna informacja o tym, że w takiej NRD system dotacyjnego podtrzymywania cen książki na stałym poziomie jest wciąż praktykowany.

C) Jeszcze w roku 1973 pod egidą S. Wrońskiego jako ministra kultury została opracowana prognoza rozwoju kultury w Polsce do roku 1990. Zapytany podówczas, co sądzę o tej prognozie, odpowiedziałem — aby mój tamten wywód zawrzeć w dwu słowach — że jest utopijna. Jestem niepokojony, że miałem więcej racji, niż sam byłem skłonny sądzić. Prognoza zakładała, że wokół lat osiemdziesiątych wszystkie węzłowe problemy rozwoju gospodarczego znajdą się już poza nami, jako rozwiązane, i że ze względu na to następne lata okażą się okresem intensywnego rozwoju twórczości kulturalnej oraz odpowiadającego mu rozwoju ekstensywnego, jako upowszechnienia kultury na największą skalę społeczną. Otóż to, co przewidywała prognoza, nie zaszło i nie zachodzi (...). Uważam, że choć braki artykułów żywnościowych są dla społeczeństwa bardziej dotkliwe niż brak wartościowej taniej książki, ten drugi brak obrodzi na dalszą metę skutkami ze wszech miar zgubnymi. Nikt w PRL nie odczuwa głodu fizycznego, lecz braki w zdobywanej wiedzy są prawie nie do odrobienia. Grozi nam wykształcenie generacji nieuków, jako

ignorantów, ledwie dostatecznie przygotowanych do pełnienia obranego fachu, natomiast wyzbytym rozeznaniam w szerszych treściach współczesnej cywilizacji: ludzi, którym oportunizm zastąpi światopogląd. (...) Możliwe są na owym obszarze szkody nie do powetowania i takich właśnie szkód na dystans 15—20 lat bardzo poważnie się teraz obawiam. (...) Polityczne szkody, jakie wyrządzają czwartorzędni publicyści, zajmujący miejsce pierwszorzędnym, są znaczne, ale to są szkody przy poprawie sytuacji odwracalne. (...) Obawiam się natomiast pogorszenia wyników kształcenia społecznie niezbędnych fachowców. Na pytanie o zasadność moich obaw odpowiadam: jakość kształcenia, będącego podwaliną dynamiki rozwojowej społeczeństwa, zakłócają:

I) Uszkodzenie kryteriów i środków pedagogiki, wywołane klimatem społeczno-politycznym;

II) Trudna, także pod względem finansowym, dostępność informacji pełnowartościowej, tj. z »pierwszej ręki« w nauce i w twórczości kulturalnej, takiej, która wyznacza **s t a n d a r d y** sprawności umysłowych. Kiedy takie standardy nie są społecznie obecne i kiedy ważniejsze od tego, co powinno być publikowane staje się to, co dla boga opublikowane być **n i e** powinno, powstaje szansa rozwoju pseudokultury, jako pseudoliteratury, pseudonauki, pseudowynalazków itp. Jednym słowem powstaje sytuacja, w której określone **p o z o r y** do pewnego czasu zastępują autentyczne fakty w kulturze i w nauce. Takiej zwyrodnieniowej dynamiki obawiam się najbardziej;

III) Faworyzowanie oportunistów przeciw oryginalności;

IV) Zastępowanie informacji typu światopoglądowego informacją rzekomo doraźnie skuteczną. (...) Taktyka działania cenzury nie ma charakteru patronatu światopoglądowego. Informacje bałamutne lub wierutne brednie utwierdzające typowe irracjonalne postawy (astrologia, talerze latające) są dopuszczane do obiegu w wysokonakładowej prasie. Programy radia i TV schlebiają gustom drobnomieszczańskim. Zarazem nieuctwo, jakie objawia nowa ekipa młodych »prezenterów« naszej TV, nie spotyka się z energicznymi zastrzeżeniami. Można więc już mówić o wtórnym analfabetyzmie szerzącym się w kulturze masowej.”

Zamknąłem list uwagą, że przedstawia truizmy, których **n i e** można nie dostrzec w życiu codziennym, iż „pominięcie ich musi uczynić **p o z o r n ą** każdą próbę diagnozy procesów kształcenia, które to zadanie postawił Komitet Badań i Prognoz przy Prezydium PAN”. Naukowa konferencja na ów temat odbyła się w Jabłoncej. Ponieważ nie uczestniczyłem w niej, tylko na prawach domniemania mogę rzec, że moja wypowiedź, naturalnie

nie opublikowana, zachowała aktualność większą, niż wszystko, co zostało tam naukowo ogłoszone.

Rok 1980. Sądzę, że moje obawy ziściłyby się w pełni, gdyby postępującego zwyrodnienia naszej kultury nie przerwał tegoroczny zryw klasy robotniczej. Lecz i tak uważam to, co napisałem przed trzema laty, za diagnozę, odpowiadającą naszej duchowej rzeczywistości roku 1980.

Trzeba jednak niejedno dopowiedzieć. Patologia życia literackiego w późnych latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych objawiła nieprzypadkowe podobieństwo. Z literaturą było doprawdy podobnie jak ze sklepami spożywczymi, w których najpierw zniknęły z półek wysokokaloryczne, treściwe artykuły, zastępowane szeregami smutnych słoików z ogórkami, a potem wypełniały pustkę same przyprawy do nieobecnych frykasów i kartony z podejrzaną zawartością. Jeśli wyobrazimy sobie literaturę w postaci mapy z prowincjami prozy ciężącej ku epice, przypisanej do niej krytyki, poezji, a im dalej ku obwodowi, tym mniej tam książek realistycznych o szerokim polu widzenia, pojawiają się za to tematy marginesu społecznego, historyczne, jako też literatura upodobniająca się do abstrakcyjnego malarstwa swoją nieoznaczonością treściową przy zachowywanym kunszcie formy, to łatwo zrozumiemy, dlaczego z oczu rzesz czytelnicznych najpierw przyszło zniknąć Brandysowi czy Konwickiemu aniżeli Buczkowskiemu czy Parnickiemu. Działalność cenzury uwidaczniała się na tej mapie powstawaniem coraz większej centralnej białej plamy, słabiej rozpościerającej się na obwód. Na koniec można było jeszcze pisać o twórczości de Sade'a, lecz nie można było pisać o ważniejszym dla nas Miłoszu. A zarazem zgodnie z zasadą zapełniania próżni byle czym mieliśmy zalew „ideologicznie nieszkodliwej” tandety wypchanej raz sztuczną egzotyką a raz namiastkowym patriotyzmem. Przez to zdziwionym masom czytelnicznym stoły księgarskie proponowały ową tandetę razem z Gomolickim czy Parnickim. Wysuwanie jakichś pretensji pod adresem takich pisarzy byłoby nonsensem. To, że mogli być dalej wydawani, nie było ani ich winą, ani zasługą. Po prostu odstrzął ich nie dotyczył. Lecz skutkiem tych praktyk było stopniowe fałszowanie hierarchii tematów, spraw, artystycznych kierunków, i w końcu ocaleć mógł tylko ten, kto uprzednio zdążył sobie stworzyć własny jakiś świat, nie przylegający dosłownie do prawdy naszego świata. Kto nie chciał lub nie mógł szukać nie zagrożonych regionów, szedł albo na dworską służbę, albo

do wydawców działających poza cenzurą. Ta klasyfikacja jest naturalnie od siekiery. Chodzi mi jednak o ukazanie powtarzalności zjawiska pełzających porażek, którego nawrót nie był tożsamy do końca, ponieważ część autorów zdecydowała się na „zanurzenie”, jakbym je nazwał, bo chodzi o publikacje niedostrzegalne dla ogromnej większości społeczeństwa. Rozerwanie naszego życia literackiego na część jawną i utajoną jest szkodą nas wszystkich jako szkodą kultury. Podkreślam, że mówię tu o działalności przede wszystkim literackiej a nie publicystycznej. Ta jest sprawą osobną.

Aby nie powstało wrażenie, że uzurpuję sobie prawo patrzenia na ową sytuację z neutralnej wysokości — takiego miejsca nie ma — powiem, że i ja publikowałem w „zanurzeniu” artykuły publicystyczne, podpisywane pseudonimem, co może ktoś uznać za małoduszność, ale miałem konkretne dowody na to, że moje nazwisko nie ma najmniejszej wagi. Pisałem przecież memoriały jako członek Komitetu „Polska 2000”, postulując, by Komitet zyskał dostęp do materiałów konfiskowanych przez cenzurę, bo rozpoznamy w nich społeczne bolączki. Jeśli więc nie można udaremnić szkodliwego działania cenzury, niechże choć zostaną zbadane te treści, które nie są przekazywane społeczeństwu. Potem przekonałem się o sensowności mego postulatu: sam układ konfiskowanych treści wskazywał narastające niebezpieczeństwo, i to tak wyraźnie, że tylko ślepy mógł tego nie dostrzec. Pisałem i do Komitetu i do prezesa Polskiej Akademii Nauk, pewien, że w najgorszym razie czeka nas odmowa tego dostępu, lecz przecież od takiego wystąpienia nikt Akademii nie rozgoni na cztery wiatry. Pisałem też w sprawie ropy naftowej (w 1973 roku) i węgla, aż dowiedziałem się, że rząd w ogóle się materiałami Komitetu nie interesuje. Cała ta robota była pozorna, jak pozorna okazała się prognoza rozwoju kultury. Albo nie otrzymywałem odpowiedzi, jak od profesora Suchodolskiego, albo były to zdawkowe grzeczności, słowem nie tykające tego, co postulowałem. Zrozumiałem więc, że to zupełnie nie skutkuje, a mnie szło o skutek, nie o to, żeby przekazać potomności mój obraz jako Rejtana w rozdartej koszuli.

Wszystko to była jednak publicystyka, ostrzeżenia, doraźne sygnały na trwożę, lecz literatura nie składa się i nie może się składać z takich sygnałów. Ostrzeżenia, polemiki z propagandą fikcyjnych sukcesów, propozycje reform należało mnożyć i uważam, że gdyby to nie było robione, byłoby gorzej niż jest. Sądzę, że jestem uprawniony do tego twierdzenia, ponieważ diagnoza naszych przypadłości wraz z elementami prognozy, którą zamieściłem w II wydaniu *Dialogów* (WL, Kraków 1972,

str. 276-301) koszmarnie się sprawdziła. Twierdzę zatem, że gdyby nie w „zanurzeniu” skryształizowana nowa koncepcja związków zawodowych jako kontrahenta i stróny, z którą władza mogła zawrzeć porozumienie, przeżylibyśmy nieobliczalne w skutkach społeczne wstrząsy, ponieważ kraj niepowstrzymanie zmierzał do ekonomicznej katastrofy, której nic nie mogło już odwrócić. Trudno więc przecenić pozytywną, bo konstruktywną rolę tego wszystkiego, co w związku z grożącą nam zapaścią pisało się poza cenzurą. Uwaga ta leży jednak poza głównym kierunkiem niniejszego artykułu. Mamy literaturę rozerwaną na dwoje. Jeśli nawet chlubne było postępowanie tych, którzy woleli publikować poza cenzurą niż zamilknąć, na dalszą metę jest to stan zły i źle rokujący.

Dlaczego właściwie? Można się spotkać ze stanowiskiem, że pozacenzuralne utwory tak czy owak wpłyną kiedyś do głównego nurtu naszego piśmiennictwa. Czyż nie mamy Norwida, choć tyle jego utworów opublikowano dopiero długo po jego śmierci? Sąd ten świadczy o zupełnym niezrozumieniu tego, czym jest i jak powstaje literatura narodowa. Pisząc dla nikłej liczby odbiorców, pisze się jakby do szuflady poszerzonej, bo mogą do niej zaglądać wybrani czytelnicy. Pół biedy, gdyby to było złożeniem dzieła do przechowalni. Lecz dzieło to nie brylant, który można zakopać w ziemi i po latach wydobyć w nie zmienionym blasku. Dzieła są raczej jak ciałka krwi, które krążą, wywierając wpływ na cały organizm i wzajem na siebie. Wybitny utwór zatrzymany w szufladzie autora, cenzora lub istniejący dla trzystu osób w kraju staje się *de facto* niemy. Nie może oddziaływać ani na liczne umysły, ani na liczne utwory, nie tworzy nowej propozycji widzenia świata, nie staje się integralną kroplą umysłowej cyrkulacji, a ponadto jeszcze doraźne względy polityczne zniekształcają przysługującą mu ocenę. Ujawniony po latach, może i będzie rewelacją, ale będzie też pogrobowcem swojego czasu.

Książka nie jest lokatą wartości przeznaczonych dla potomnych. Powstająca współcześnie, ma służyć współczesnym. Jeśli nie można jej wydać, trzeba ją jakoś ocalić, lecz trzeba też rozumieć, że chodzi o wyjście dość rozpaczliwe i wyjątkowe, lepsze tylko od całkowitej zatury. Tak jest z książką pisaną z zamiarem normalnej publikacji. Utwory pozacenzuralne z założenia są tym samym niejako w pozycji buntowniczej, i na ogół nie wychodzi im to na zdrowie. Stają się elementami walki z przeciwnikiem, który za główną rację ma to, że jest silniejszy. Całkowita słuszność racji nie zmienia niczego w tym, że polemiczny charakter takich utworów jest na miarę przeciwnika, bo on wyznaczył teren i reguły. Trudno z takich okoliczności wykrzesać coś, co zdobywa wymiar uniwersalny. Jeśli taka

forma oporu literatury była konieczna, to tak, jak reakcja organizmu na wtargnięcie choroby. Taka obronna reakcja ratuje życie, lecz do tego sprowadza się cały jej sens. Należy wyzdrowieć i zrobić z tym zdrowiem coś pożytecznego, co nie ogranicza się do satysfakcji z własnej nieugiętości. Gdy redagowanej przeze mnie obcej książki, przełożonej przez Stanisława Barańczaka, nie mogłem wydać ze względu na osobę tłumacza, zerwałem w proteście współpracę z Wydawnictwem Literackim. Jakiż był skutek mego „nieugiętego strajku”, który trwał dwa lata? Taki, że nie ukazywały się ani moje książki, ani nie wyszła ta, którą Barańczak przełożył. Nie straciłem szacunku dla siebie, lecz straciłem czytelników. Była to sytuacja dla tego czasu typowa, ponieważ wybierać przychodziło tylko pomiędzy różnymi rodzajami strat.

Chcę powiedzieć z całą mocą, że nasze położenie jest nienormalne i niepożądane w takim oto sensie. Społeczne warunki powinny albo sprzyjać wytwórczości, albo przynajmniej być względem niej obojętne (jak jest na Zachodzie). Pisarza powinno się oceniać według jego książek a nie podług jego osobistej odwagi i gotowości do ponoszenia ofiar za wierność własnym przekonaniom. Pisarz pracuje w normalnych warunkach, gdy tworzy wzory osobowe i moralne swymi książkami, a nie swoim męczeńskim życiem i stracenią postawą. To, że właśnie taki typ pisarza jest mocno osadzony w naszej tradycji, wynika z historycznych prób na wytrzymałość narodową, które były przez wieki naszym udziałem. Wolno się chlubić posiadaniem takich postaci, ale należy robić wszystko, co możliwe, żeby przestały być potrzebne w aktach przysparzających chwały dziejom i czyniącym z dzieł kamienie rzucone na szaniec. Chodzi o to, żeby więcej nie było żadnych szanów i żeby książki nie musiały pełnić roli takich kamieni. Musimy jednak przyjąć naszą nienormalną sytuację z całym balastem inwentarza. Literatura „oficjalna” weszła w sytuację gettową. Substytut wolności, osiąganey po wykroczeniu poza cenzurę, nie jest tą pełną, wysoką wolnością, z której cały świat widać, która jest powietrzem literatury uniwersalnej, to znaczy nie znającej żadnych granic. Jeśli między członkami społeczeństwa nie ma prawdy, jeśli nauczyli się porozumiewać systemem niedomówień, jeśli znają nadzieje i myśli osób bliskich, lecz cała reszta społeczeństwa jest im nie znana, bo przesłonięta fałszem, który, choć rozpoznany w niewiarygodności, pozostaje nieprzejrzysty, to literatura może z tego stanu deformacji i zakłamania zdawać sprawę, ale sama nie może go zmienić na lepsze. Upadek zakazów to otwarcie drzwi — lecz otworzyć drzwi to nie znaczy jeszcze sprawić, by wychodziły nimi na świat arcydzieła. Inaczej mówiąc, trzeba spełnić szereg konkretnych warunków,

lecz one nie będą wystarczającą gwarancją rychłego wzlotu literatury. Obawiam się zamętu, postaw ekstremalnych i konfliktów, wywołanych tym, że obok autorów źle widzianych przez władze, mamy źle widzianych przez literackie środowisko. Uważam, że książki wszystkich winny być traktowane tak samo.

Nacisków administracyjnych nie powinny zastąpić naciski środowiskowe. Aktualnie najbardziej jest nam potrzebna krytyka merytoryczna, sprawiedliwa i niezawisła w sądach, po to, ażeby nastąpiła regeneracja i normalizacja hierarchii wartości w literaturze. Tylko ona może weryfikować walory pisarskich dorobków. Potrzebne nam są, jak pisałem w 1977 roku, standardy intelektualne i artystyczne, a tych nie tworzy się z dnia na dzień. Oczywiście nie zaczynamy od zera. Myśleć tak byłoby nonsensem. Trzeba wzywać do powrotu na scenę współczesności krytyków, którzy poszli w historię lub teorię literatury, bo nie chcieli uczestniczyć w grze pozorów. Trzeba podwyższyć wymagania stawiane debiutantowi i utrudnić produkcję bezwartościowej szmiry, tej kłamliwej fabularnie i niechlujnej językowo produkcji, która zajęła miejsce kulturalnej rozrywki umysłowej. Tę stajnię Augiasza należy wymieść, bo przynosi nam wstyd i jest spuścizną po latach, w których szerzenie bezmyślności było cnotą. Należy dać głos oddziałom ZLP w typowaniu redaktorów pism literackich. Należy zająć się młodymi, bo choć nie można stwarzać talentów, można ułatwić ich dojrzewanie udostępnieniem lektur i wzorców, co teraz jest bardzo utrudnione, gdyż w księgarniach leżą tony papieru zadrukowanego lichotą. Tylko dlatego zwykle, przyzwoicie napisane książki (w rodzaju popularno-naukowych H. Dithfurta) stają się niesłuchaną rewelacją, a dotarcie do klasyków narodowych bywa marzeniem ściętej głowy. Ten marnotrawczy chaos można i trzeba zlikwidować. Należy wyrzucić nacisk na wydawców, żeby zamiast egzotycznych przypraw oraz wznowień obcych staroci, wydawanych, bo nie trzeba za nie płacić po wygaśnięciu praw autorskich, w nagłym trybie wprowadzili na rynek zestawy książek cennych, których listy może przedstawić nasze literackie środowisko. Sama obfita obecność takich dzieł wspomogłoby restytucję tych s t a n d a r d ó w , które znikły ze społecznego pola widzenia.

Uważam, że powinniśmy być surowsi wobec naszych książek niż wobec naszych autorów. Nie znaczy to, że należy wszystko wszystkim zapomnieć. Trzeba pamiętać o przeszłości konkretnych ludzi, nie aby się mścić i nawet nie dla wymierzenia im sprawiedliwości, lecz przez wzgląd na przyszłe dobro literatury. W normalnych warunkach ani krytyka, ani społeczeństwo nie powinny rozróżniać twórców ze względu na cechy ich charakteru.

Utalentowany nikczemnik to zjawisko rzadkie. Na ogół nędzne dusze stać tylko na nędzne książki. Niestety, częściej zdarza się mierny talent osadzony w złotej prawości. Gdy czas jest normalny, w literaturze obowiązuje rachunek, który nie wytyka pisarzom ich ludzkich wad ani nie respektuje ich osobistej prawości, ponieważ liczą się tylko dokonania czyli dzieła. My jednak nauczyliśmy się zważać na jakość charakterów bardziej niż na wartość książek. Gdy się ta relacja definitywnie odwróci, będziemy mieli normalną literaturę normalnego społeczeństwa. Oby się to stało jak najprędzej.

Rok 1990. Redakcja „Tekstów” wyraziła życzenie, abym powyższy artykuł, bez mała dziesięć lat temu opublikowany w „Polityce”, opatrzył — przy jego obecnym przedruku — komentarzem, co oznaczało niechybnie oczekiwanie na wypowiedź jak TERAZ patrzę na sprawę naszej literatury. Zgody udzieliłem pochopnie, gdyż ten mój komentarz winien być zwięzły, a rzecz wymaga właściwie rozprawy. Skoro jednak słowo się rzekło — wypada go dotrzymać.

1. Będę się z konieczności wyrażał stylem dość telegraficznym, a przez to i kategorycznym, nie widzę jednak na taką zwięzłość rady, ponieważ piszę w świecie innym niż ów, w jakim brałem się do tamtego artykułu — a mianowicie w świecie, w którym nie do politycznej odwilży doszło, lecz do takiego politycznego trzęsienia ziemi, po którym z „realnego socjalizmu” ostały się tylko jego nie ze wszystkim zlikwidowane szczątki, „układy” i wiele innych ostatków, na czele z Partią, która ogłosiła, iż już nie istnieje, albowiem przeistoczyła się w swojego uprzedniego wroga, mianowicie w socjaldemokrację. Autentycznym ów zabieg być nie mógł: był raczej ochronnym i samozachowawczym, niejako zmianą upierzenia. Ma to naturalnie i będzie miało nie byle jakie znaczenie w politycznym życiu kraju, skoro jednak zarzekłem się, że będę zwięzły, nie powiem więcej.

2. W stuleciu naszym przeżyliśmy dwie w historii pierwsze gigantyczne próby z góry zaprojektowanego przekształcenia danego biegiem historii społecznego ustroju państw Europy a też i świata. P i e r w s z y z tych eksperymentów, niemiecki i hitlerowski, pragnął dać „rasie panów” władzę nad innymi, „niższymi” rasami, trzebiąc je z ich kulturami lub „tylko” wdrażając do niewoli. Zamiar ów, w założeniu niewykonalny ze względu na dysproporcję sił (III Rzesza plus drobni akolici przeciw reszcie globu) dał w efekcie kilkadziesiąt milionów trupów, zmiażdżoną Europę i część Azji, a wysiłek, do jakiego przymusił ZSRR, obrócił to państwo w supermocarstwo, które doprowadziło do podziału kontynentu na dwa wrychle wrogie

bloki. Drugi eksperyment, wszczęty wcześniej, bo w roku 1917, miał ziścić hipotezę Marksa przez utworzenie swobodnego związku wyswobodzonych spod eksploatacji ludów. Obserwujemy obecnie jego stadium finalne. Prymitywizm wyjściowej hipotezy — i tym samym jej całkowita niedostateczność, sprowadzalna do uznania za „budulec” komunizmu człowieka o takich cechach, jakie nie istnieją, ujawnił się dopiero po kilkudziesięciu latach. W epoce stagnacji techno-cywilizacyjnej może by supermocarstwo wszechzniewolenia, w którym urzeczywistniły się rojenia Marksa, mogło trwać przez czas nieokreślony. W sytuacji wszakże rywalizacji i współzawodnictwa Wschodu i Zachodu rozpad modelu totalitarnego był nieuchronny, gdyż totalitaryzm nie może ani *per fas* ani *per nefas* dotrzymać kroku rozpędzonej technocywilizacji Zachodu, obradzającej innowacjami także w sferze zbrojeń, za którymi nie mógł nadążyć obszar zniewolenia. To trzeba dobrze pojmować. Przy swych niezliczonych wadach system Zachodu okazał się po prostu sprawniejszym w wyścigu, a system Wschodu, nim przegrał, zrujnował sobie środowisko życiowe, jakość ludzkiego życia, przetrzebił olbrzymie zapasy wszelkich surowców, a morza zmienił w pustynie. Tym zbiorowym katastrofom zawdzięcza swe powstanie „pierestrojka”: tym, a nie oporowi moralnemu przeciwników totalitaryzmu. Z uwagi na właściwy temat, tutaj więcej powiedzieć nie mogę.

3. Mnóstwo z tego, czego obawiałem się, a co wymieniłem w eseju *Mój pogląd...* ziściło się. W miarę, jak fiasko „budowy socjalizmu” ujawniło się, co w wymiarze poszczególnych społeczeństw stanowiło naprzemienne fazy skurczów i rozkurczów, przymrozków i odwilży, srogiego naporu władzy naprzemiennego z okresami jej bardziej lub mniej autentycznej liberalizacji, poszczególni ludzie lub grupy ludzi opuszczały stronę totalitaryzmu. Kalendarium owych protestów, wystąpień z partii, jest o tyle ważne, że ostateczna likwidacja ustroju w jego ośrodkach władzy w Polsce obróciła niemal wszystkich „totalitarystów”, ich apologetów i aliantów, w „prawdziwych demokratów”. Z uwagi na powstanie takiego kalendarium, nie dysponujemy żadnym innym metrem do mierzenia autentycznej cnoty i prawości w przywiązaniu do demokratycznych ideałów poza — najzwyczajniej — konkretnymi datami: kiedy kto wreszcie opowiedział się przeciwko zbankrutowanemu systemowi. Jeżeli uczynił to dopiero po ogłoszeniu tego bankructwa, zwieńczonego autolikwidacją PZPR, innej, niż zerowa wiarygodność takim „nagłym konwertytom” przypisać nie jestem w stanie.

4. Tak zatem — przechodzę nareszcie do samej rzeczy — więzienie runęło.

Okazało się jednak — ku fatalnemu zaskoczeniu nas wszystkich — że razem z tą ruiną nastąpiło zniszczenie materialno-finansowych mocy, usługujących kulturze. Ustrój totalitarny bowiem był mecenasem kultury, dość okrutnym, Prokrustowym, wiele wymagającym i w zamian ofiarowującym nie tak znów niesłychane splendory i bogactwa. Niemniej, można było wchodzić z nim w kompromisy, czyli, w języku bardziej kolokwialnym, nazbyt się nie ześwinić i nie licytować w serwilizmie z „dworskimi twórcami”, a nawet można było korzystać z łask mecenatu, kiedy się go ani jego możnowładców nie chwaliło, i też im osobliwie nie nadskakiwało. Zjawisko to ma pewien analogon na Zachodzie, są tam bowiem mecenas — np. wydawcy — którzy ze swej kiesy opłacają publikację manifestów, propagujących likwidację takich właśnie bogatych mecenasów i to nie tylko i nie zawsze jako klasy, lecz stosując „propozycję wieszania” *ad personam!* Czy to jest tolerowane dla reklamy (liberalizmu), czy z innych przyczyn — tu badać tego nie mogę.

5. Patronując naszemu dość rozpaczliwemu stanowi rzeczy „okrutny” (w bezwyjątkowej reformie gospodarczej) Balcerowicz i raczej bezradna (w obliczu tej bezwyjątkowości) p. Cywińska jako minister kultury. Sytuację zaś pogarsza w sposób poważny to, że część środowiska pisarskiego, dziennikarskiego, artystycznego, jednym słowem: pewna część umysłowych elit kraju, włącznie z pedagogami, preceptorami, kandydatami na moralno-intelektualne autorytety, w godzinie „ZERO”, czyli wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1981, zdradziła nas. Dla tego aktu, który rozerwał solidarność (przez małe „s” — w redakcjach, wydawnictwach, szkołach, uniwersytetach, klubach, i wszelkich w ogóle instytucjach powiązanych z kulturą), znaleźli wprawdzie adoratorzy lub propagandyści stanu wojennego wiele określeń, nieporównanie szlachetniejszych od „zdrady”, ale, jak mówi Pismo, po owocach poznacie je. Pisarzom zabrano ich pisma, powstały listy proskrypcyjne, zapelniono „antydzrajcami” więzienia i obozy internowanych i nie byłoby sensu w wymienianiu powszechnie znanych — choć nie skatalogowanych i nie ZBILANSOWANYCH RZECZOWO W ZAKRESIE STRAT — zjawisk. Jednak, ponieważ ubóstwiamy martyrologię i martyrografię, brać się do buchalterii w tej dziedzinie — to nie nazbyt odpowiada narodowemu charakterowi Polaków.

6. Twierdząc tymczasem, że szkody, jakie poniosła kultura od wprowadzenia stanu wojennego i od natychmiastowej izolacji (internowania) tysiący osób nie były najgorsze. Najgorsze było siedmioletnie trwanie postępującego rujnowania wszystkich sfer kultury i oświaty, kamuflowane tworzeniem

potemkinowskich ciał fikcyjnych w rodzaju PRON-u, SRaKi, i innych; były one osłoną postępującej ruiny w kulturze a pełniły funkcję propagandową — zakłamując rzeczywisty stan rzeczy. Nie zabrakło mistrzów tej Goebbelsjady, w rodzaju Urbanów, Passentów, Lulińskich i innych. Przekonany jestem jednocześnie, że gdyby nie przyszło w Centrali do rozpoznania definitywnego kryzysu systemu jako rysującej się na bliskim horyzoncie czasowym PRZEGRANEJ (i to nieodwracalnej) w wyścigu zbrojeń i w politycznej ofensywie, która zamieniała się w porażkę, to by w Polsce nie doszło do zmian zapoczątkowanych przez partyjnych „reformatorów”. Nie doszłoby zaś dlatego, że albo ZSRR jest autentycznym supermocarstwem z niemalowanym potencjałem „MAD” (*mutual assured destruction*), albo też nim NIE jest i żadnego trzeciego stanowiska być nie może. Natomiast państwo jak Polska legitymować się wobec świata analogiczną autentycznością potęgi bynajmniej nie musi. Dlatego bez „pierestrojki” nie byłoby u nas nic dobrego: iluzje, iż to zwyciężyły nasze cnoty: Męstwo, Honor, Miłość Ojczyzny, Wolność itp., są luksusem, na jaki sobie TERAZ zwłaszcza nie możemy pozwolić. Z uwagi na powiedziane nie uważam, jakoby instygatorom stanu wojennego przyświecała TA dobra intencja, która się potem objawiła przy okrągłym stole. To był niespodziewany podarek, brama tryumfalnego odwrotu, otwarta stronie „wojennej” przez Historię: rzadko bo rzadko, lecz takie prezenty czasem Historia przynosi.

7. Po stanie wojennym i po upadku gmachu niewoli odziedziczyliśmy wszakże rozbite związki twórcze, przez siedmioletnie esbecko-policyjne panowanie osłabioną dodatkowo i tak już ledwo zipiącą gospodarkę, a wreszcie kurację urynkowania w ramach Balcerowiczowskiej reformy, która, moim osobistym zdaniem, stanowi zagrożenie kultury tyleż fatalne, co wcale nie konieczne. Złą sytuację pogłębia dodatkowo jakoby motywowana etyką chrześcijańską generalna, przyświecająca rządowi Mazowieckiego, reguła pobłażania, niewyrównywania rachunku krzywd, nie szukania odwetu, jednym słowem, zgoda z naczelnym nakazem „miłujcie nieprzyjaciół wasze”. Bardzo dobrze. Wszelako będące na wszystkich rządowych ustach hasło, aby nie podejmować „polowania na czarownice”, jest zwyczajnym fałszem, co bardzo łatwo udowodnić. Odpust win — „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” — proszę bardzo. Wszelako, nie trzeba aż być, jak prof. Geremek, mediewistą, aby wiedzieć, iż oskarżenie, torturowanie, palenie i topienie „czarownic” było masową aberracją wysoce haniebną, albowiem żadnych rzeczywistych czarów żadne czarownice nie uprawiały w tym sensie, iżby sprzedawały dusze piekłu, żeby

obcowali z diabłami, żeby była kropla prawdy w bezliku opisów sabatów na Łysej Górze — właśnie niedawno czytałem dzieło niemieckiego antropologa, który kopiąc się w dokumentach usiłował wykryć choć ślad JEDNEGO sabatu czarownic, ale nic z tego! Był to zbiorowy wybuch sadyzmu w maskach sfanatyzowanego ścigania diablego zła i nic więcej. Natomiast nie słyszałem jeszcze o kraju chrześcijańskim, włącznie z państwem Watykańskim, w którym nie są ścigane i nie podlegają organom penitencjarnym przestępstwa pospolite! To i owo można by „odtłumaczyć” swego rodzaju „ideologicznym fanatyzmem” tych, powiedzmy, którzy zasłużonym pisarzom krakowskim zabrali stworzony przez nich periodyk PISMO i oddali je gromadce nieudolnych, ale serwilistycznie oddanych amatorów. Wszelako drugi numer „nowego” PISMA był antologią pornograficznych tekstów: TAK się ziściły słowa wielmoży partyjnego, który uprzednio nam mówił „nie zdajecie sobie sprawy z czasów, w jakich żyjecie”. Ano, po lekturze tego PISMA zdałem sobie sprawę i opuściłem z rodziną kraj, aby wrócić „przy Gorbaczowie”.

8. Przykład powyższy jest doskonałą egzemplifikacją stanu „późnego realnego socjalizmu”, kiedy to żadnego „wierzącego” komunisty już w Polsce nie było, byli jeno betonowi cwaniacy, karierowicze i to wszystko, co jest w każdym społeczeństwie najgorszym materiałem ludzkim bez czci i wiary, a co hurmą kopnęło się pod sztandary WRONy. Dlatego zaś o tym mówię w kontekście *Mego poglądu na literaturę*, że wprawdzie nie mamy już wydawnictw zdolnych pełnić mecenatowe funkcje, ani dotacji, ani specjalnych ulg podatkowych w obrębie produkcji, dystrybucji, propagacji wszelkich druków periodycznych i aperiodycznych, czyli nie mamy nic, jesteśmy (mówiąc z niejaką, służącą obrazowości przesadą) goli i bosci, ale mamy te same poglądy na zestrój naczelnych wartości, którymi kultura narodowa stoi, jak przedtem, tj. jak 10, 20, 30 i więcej lat temu. Z uwagi zaś na definitywne rozpęknięcie, na podział środowisk opinio- i kulturotwórczych, uważam stosowanie (desygnacyjnie, jakem dowiodł, w 100% fałszywej) reguły „żadnych polowań na czarownice”, w zakresie kultury za akt po prostu samobójczy. Wartościom naczelnym mianowicie albo się służy autentycznie, albo wcale: *tertium non datur*. Znaczy to, iż człowiek, który wychwalał zalety stanu wojennego W KULTURZE, a teraz o tym zapomniał, który przypisywał ludziom uwięzionym, przemocą rozbijanym organizacjom, powiązania z „imperializmem” albo „obcymi wywiadami” albo „syjonizmem” itp., nie może obecnie ramię w ramię z tymi podówczas obalonymi, internowanymi, leżącymi, których złży i kopał, podążać równym krokiem w świetlaną, urynkowaną dal

Balcerowiczowsko udoskonalonej Rzeczypospolitej. To się zrobić po prostu nie da. Nie oznacza to bynajmniej wezwania do „polowań”, „szykan”, a tylko do **trwałego rozgraniczenia i odgraniczenia**, ponieważ wchłaniając tamtych, zrównując w prominenacji „marcowych” docentów z prawdziwymi naukowcami, nic nie robimy innego, jak tylko kontynuujemy dzieło niszczenia kultury polskiej i kwita.

9. Czy możemy liczyć na wsparcie ciężko upośledzonej kultury przez „SOLIDARNOŚĆ”? Bezpośrednio nie. „Solidarność” stała się wszakże ośrodkiem krystalizacyjnym i organizacyjnym tych wszystkich dążeń zniewolonego społeczeństwa, które nie były w stanie poza nią znaleźć wyrazu. W jedności jej i przede wszystkim w jedności symboli, jakimi powstała, stała i przetrwała czas wojenny, jej siła i nic gorszego prócz rozmowienia, rozbicia na dzielone animozjami, ambicjami i pretensjami ugrupowania spotkać „Solidarność” nie może. Ościenne kraje zazdrościły nam tego samoorganizacyjnego zrywu; z naszej strony jednak powinniśmy bacznie przypatrywać się temu, co robią w NRD, w CSR, na Węgrzech. Szczególnie istotnym dla nas przypadkiem jest NRD, ponieważ wszyscy liczący się finansisci, bankierzy, ekonomiści, politycy RFN całą uwagę skoncentrowali na przeglądzie taktyk, mających NRD podnieść z kryzysowego upadku. Kto, jak ja, śledzi w niemieckiej prasie i mediach owe narady, konsultacje, propozycje, widzi *p o p i e r w s z e*, że wielki kapitał niemiecki gotów jest pomagać NRD „z doskoku”, mając w tym nie tyle interesy „braci i sióstr” zza Łaby na oku, co własne, i *p o w t ó r e*, że najtrzeźwiejsi, nie tyle o głosy wyborców, ile o dobro Niemiec zatroskani politycy RFN (i — NRD również) przestrzegają przed spuszczeniem z łańcuchów sfory potężnych konsorcjów, władających sieciami wszelkiego handlu hurtowo-detalicznego, gdyż jeśli szerokim frontem wtargną do NRD, to zmiażdżą ledwie w zaczątkach odradzający się tam stan średni, miejscowy handel, wydawnictwa prasowe i książkowe, co zresztą we wstępnej mierze już zachodzi. Albowiem nowożytny, zahartowany w rynekowych rywalizacjach, uprzejmy w obejściu a bezwzględny w działaniu kapitał wkroczył już do NRD, i ze szczeniem zdążył już znieść działalność subwencjonalnych agregatów handlowych, po części też prasy i oficyn wydawniczych, które były w NRD silnie wspierane subwencjami, utrzymanymi w tamtejszym systemie nakazowo-rozdzielczym na wciąż wysokim poziomie. Wiem o tym z własnego doświadczenia, te same bowiem moje tytuły ukazywały się w obu państwach niemieckich w podobnej szacie graficznej a różniły się przy tym ceną w skali 1:12, a nawet 1:16 na korzyść NRD. Trzeba naturalnie rozumieć, że są to niejako pozytywne, uboczne

efekty funkcjonowania totalitaryzmu, który, zabierając społeczeństwu WSZYSTKO, udaremniając powstawanie wszelkich prywatnych fortun, może sobie niekiedy pozwolić na wiele w sferze mecenatów (inną, faworyzowaną podobnie domeną był sport, dzięki czemu mała NRD zbierała takie złote plony medali na zawodach międzynarodowych). Nam, powiedzmy to dobitnie, inwazja obcego kapitału na skalę podobną, jaka oczekuje NRD, nie grozi, i tym samym zarówno nadzieje jednych jak obawy innych rodaków są w tej mierze („wyprzedaży majątku narodowego”) przede wszystkim bezzasadne. Natomiast zagrożeniem pośrednim, także kulturowym, jest odcięcie nas barierami celnymi, znikomą mocą importową i nikłym zainteresowaniem dysponentów przodujących mocy technologicznych, od tego źródła informacyjno-industrialnego, które napędza światową czołówkę. Albowiem przechodzenie wsi na trakcję konną w zastępstwie zbyt drogich ciągników, jest symptomem ostrzegawczym, wskazującym, że powodzenie zbyt wyborne konceptu urynkowania może nas doprowadzić do Polski przedwojennej omal literalnie, a to nie byłoby pożądane! Była to bowiem, wbrew dziś silnym ciągotom idealizacyjnym, Polska bardzo zacofana i słaba. A była taka nie tylko od wad charakteru narodowego, na które zżymał się np. Józef Piłsudski, pochodnych tradycji sejmikowania i rozdrobnienia egotycznego, lecz także, ponieważ mieliśmy w liczącym się (czyli zasobnym) świecie opinię albo państwa na poły faszystowskiego (po części zawdzięczaliśmy ją Piłsudskiemu), a po części skażonego szowinizmem nacjonalistycznym w jego (nie tylko, ale zwłaszcza) antysemickiej postaci, której do ostatniej opinii dostarczał paliwa Dmowski od pierwszych swoistych politycznych wystąpień na Zachodzie. Dlatego świętą rację miał Jerzy Giedroyc, przestrzegając przed Polską, którą nadal mają rządzić trumny Piłsudskiego i Dmowskiego. Wszelako, ażeby gruntownie to pojąć i wyciągnąć z tej diagnozy wnioski, trzeba krztyny trzeźwego, antynostalgicznie nastawionego względem przeszłości rozumu. O rozum zaś było u nas prawie zawsze trudniej niż o rozważę i odwagę.

10. Odzyskaliśmy suwerenność. W klótnie, czy w 35, czy w 70 procentach, wkraczać nie zamierzam. Nie wiem też, czy w podziemiach Ministerstwa Kultury i Sztuki podjęte zostały jakiegokolwiek kroki osłonowe dla ratowania kultury. Powrót pod względem wydajności, sprawności i zasięgu oddziaływań na społeczeństwo do dwudziestolecia międzywojennego byłyby po prostu katastrofą umysłową, skoro pisma klasy „Wiadomości Literackich” osiągały w szczycie 12-tysięczne nakłady, a książki o nakładach kilkutysięcznych były niemal polskimi bestsellerami! Możliwe były roz-

maite postaci ratownictwa, w dziedzinie książki np. realizacja pomysłu, z jakim występowałem przed laty w RFN — adresując go zresztą do Zachodu — mianowicie, aby tytuły poczytne i pokupne lecz kulturowo liche lub bezwartościowe (pornografia, sensacja) obłożyć podatkiem, który nazwałem „podatkiem od MNIEJSZEJ wartości” i tak uzyskanymi nadwyżkami zasilać wydawanie dzieł różnozakresowo cennych. Oczywiście uznano ten pomysł za żart, gdyż komercjalizacja ogarnęła WSZYSTKIE dziedziny WSZELKIEJ produkcji na Zachodzie, czym wszakże, jako nadzieją na NASZĄ przyszłość, prawdziwie nie powinniśmy się upajać. Zresztą nie ma tu miejsca na proponowanie rozmaitych form zbiorowego i zorganizowanego ratownictwa w dziedzinie sztuki i nauki. Mogę tylko zauważyć, iż tworzenie Rad przy Prezydencie, Prymasie, na Zamku Królewskim, albo w jeszcze wspanialszym jakimś panteonie muz, uważam na kontynuację działalności pozornej, tj. pozorującej ratownictwo, albowiem „i Salomon z pustego nie należy”, a najpiękniej zestrojone umysłowe elity polskie nie wytworzą tego, bez czego kultura ani powstawać ani zyskiwać ciągłości ani ekspansywności na CAŁE społeczeństwo nie jest w stanie. Potrzeba mianowicie wyspecjalizowanego, ostro adresowanego ustawodawstwa, które by chroniło produkt umysłowy i artystyczny oraz naukowy w tej proporcjonalnej mierze, w jakiej dany produkt konkretnie na to zasługuje; potrzeba zorganizowania produkcji, dystrybucji, kolportażu, i tego rodzaju szkolenia oraz kształcenia kadr (np. księgarskich), które jest odpowiednikiem, a sferze ducha (mniej podniosłe rzekłoby się: w domenie informacyjnej) tak dziś zachwalanego u nas remedium na wszystkie ekonomiczne bolączki MENEŻERSTWA. I *last but not least* potrzeba kapitału, czyli po prostu pieniędzy; mówię o tym dlatego, ponieważ mogę być obiektywnym i bezstronnym obserwatorem całej omawianej tu dziedziny: nie z kraju bowiem płyną środki finansowe mego utrzymania. Toteż o reprezentowanie interesów własnej kieszeni posądzić mnie nie można.

11. Kończę: nie wszystko stracone, ale wiele zagrożone. Żywiolowość raczkującego rynku jest niebezpieczeństwem kultury. Moc drobnych wydawców, powstających jakby z nicości, by atrakcyjną garścią mało co wartych książek utrafić w powszechniejszy, pośledni gust odbiorców i umknąć z zyskiem, to nie zarodek trwałości produkcyjnej, ale sfera spowinowacana z naszymi handlowcami-turystami! Kulturą, twierdzą, narody powstają i padają, reszta jest wypadkową użytków, jakie ludzie czynią z dorobku umysłowego. Nie będzie to zapewne uwaga najoryginalniejsza z możliwych, ale właśnie taką chcę zakończyć ten kalendarz do

tekstu sprzed omal dekady. „*Homo sapiens sapiens*” to nasza nazwa według tablicy Linneusza. Rozumne korzystanie z gatunkowej rozumności jest jedyną szansą we współczesnym świecie, a rozum bez kultury to akurat tyle, co orzeł bez skrzydeł.

Kraków, 10 marca 1990